

Romantycznych
poetów listy –
hipotetyczna
korespondencja
Cypriana Kamila
Norwida z Adamem
Mickiewiczem. Część

1.



Fot. Pixabay

Opowieść o losie poety na emigracji. Hipotetyczna korespondencja romantycznych poetów, gdyby Norwid z Nowego Jorku nie wrócił do Paryża, tylko pojechał do Chicago.

*

Adam Lizakowski (*Chicago/Pieszyce*)

Będąc w Chicago przez prawie 30 lat, natrafiłem na listy poetów romantycznych w jednym z domów starych emigrantów, sprzątając ich strychy i garaże. Cztery listy były w jednej

kopercie z dużym kolorowym znaczkiem odręcznie zaadresowanej i nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie nazwisko Cyprian Norwid, napisane ładnym okrągłym pismem. Koperta ta włożona była do pudełka po butach firmy obuwniczej *Florsheim Shoe Company* z datą 1905 rok i ceną pięciu dolarów przyklejną na boku. Były jeszcze i inne listy w tym pudełku z różnych lat z ładnymi znaczkami z Europy jeszcze sprzed I i II wojny światowej. Zapytałem właściciela domu czy mogę je wyrzucić na śmietnik, odpowiedział, że tak, ale muszę je włożyć do worka z papierami. Jakiś diabeł uczciwości mnie podkusił i zapytałem się go czy nie szkoda mu znaczków, tak kolorowych i odpowiedział, że szkoda i wtedy się połapałem, że okropny ze mnie frajer, bo o ładnych znaczkach niepotrzebnie wspomniałem. On, gdy o tych znaczkach nagle dla niego wartościowych usłyszał, kazał sobie zapłacić całą moją dniówkę pracy u niego, na co nie mogłem sobie pozwolić. Ale będąc w dobrym nastroju uprosiłem go, aby mi te cztery listy pozwolił przepisać, co zrobiłem i teraz do wiadomości publicznej podaję. Właściciele domu i tych listów już do trzech pokoleń nie mówią po polsku, a na moje pytanie skąd się u nich wzięły, odpowiedzieli, że pradziadowie wynajmowali mieszkania rodakom i być może ten Norwid u jego prapradziadów mieszkał, i wracając do Europy, aby mu ciężko nie było, wiele swoich szpargałów pozostawił. Jedynie z workiem przepasanym sznurkiem wzdłuż ciała z domu do Union Station poszedł na pociąg do Nowego Jorku. Nie on jeden zresztą, bo wszyscy tak

robili, co szczęścia gdzie indziej szukali.

*

C. K. Norwid z Chicago pisze list do A. Mickiewicza w Paryżu

Szanowny i Wielmożny Panie -

Długo mógłbym pisać o osobistych mych cierpieniach, które były powodem, iż po czternastu miesiącach w Nowym Jorku najpierw dyliżansem, a później koleją żelazną poprzez Filadelfię, Baltimore i Buffalo po tygodniu podróży do Chicago dojechałem. Drogę miałem wygodniejszą, bo po ziemi pod stopami, niż statkiem po oceanu głębinach do Ameryki, gdzie w strachu i o głodzie, Najwyższego o życie prosiłem. Moje modlitwy o lepsze jutro zostały wysłuchane, chociaż to nie Wschód Ameryki, ale jej Środkowy Zachód do mnie się szczęściem uśmiechnął. Nie chciałem niewolnikiem pracy artystycznej w Nowym Jorku zostać, chociaż nigdzie na świecie tak dobrze za bycie artystą nie płacą, jak w Ameryce. Płacą, ale i artyści wolność chcą kupić, albo ograniczyć. Po zakończeniu pracy dla redakcji *Almanachu Ekspozycji Uniwersalnej* po raz kolejny w długach po kolana ugrzęzłem, choć pracy miałem aż po same łokcie, ale mi nie płacili jak obiecali, oszukiwali, to miałem wyrzuty sumienia, że za nic się sprzedaję. Aż tu pewnego dnia spotkałem pewną grupę

rodaków spod Rzeszowa, co to za chlebem na Zachód jechali i z nimi się zabrałem przymuszonym głodem i chorobami, że gorzej być nie może, tylko będzie lepiej a w Panu nadzieję pokładałem. Wielu naszych rodaków tak robiło, co to ze statków z Europy zeszli i do Chicago się kierowało. Nie umiem powiedzieć jak wiele nerwów i zdrowia decyzja ta mnie kosztowała, ale się nad wszech miar opłaciło.

W Chicago mogę powiedzieć praca leżała na ulicy, bo ledwie że z pociągu wysiadł, Żyd z długą brodą wpół zgięty do pracy w rzeźni zapraszał, podawał adres i na wstępne rozmowy kierował. Poszedłem i ja z moimi podróżnymi pełen obaw i pracę dostaliśmy od zaraz, tak, że po kilku tygodniach ponad moje siły ze wszelkich artystycznych zapędów się wyleczyłem, te moje biedne modlitwy o lepsze jutro zbliżyły mnie do pracy ludzi. Stać mnie na wiele, w małym domku z ogródkiem przy ulicy Milwaukee mieszkam. Mam swój pokój i własne łóżko, a to już nie małe osiągnięcie, bo są tutaj i tacy, co tylko na podłodze śpią, albo na dwa krzesła tylko ich stać i na nich nocują w przedpokojach. Są też tacy, co i na pokój byłoby stać, ale oszczędzają dolary i do rodziny w kraju wysyłają, sami sobie od ust odejmując. Wyzdrowiałem z wszelkich chorób i słabości i sam sobie usługuję, myję podłogę w moim pokoju i posadzkę w domu, chodzę boso dla prostoty i aby tych biednych, z którymi mieszkam uszanować.

Na mieście w polskich karczmach obiadam, jedzenie nie drogie proste, baby zwykle je gotują, co to i chłopcy i dzieci na wsiach polskich karmiły dobrze, aby siły w polu miały. Kuchnia chłopska na krupach i pierogach oparta, lepsza od francuskiej, bo Amerykanie na jedzeniu ani krzty się nie znają. A i wygodnie mi tak, gdy po dziesięciu godzinach z pracy do siebie wracam. Teraz w sobotę też w karczmie jestem, zaszedłem z karteczkami papieru, aby napisać tych kilkanaście zdań i drugi raz nie wychodzić z listem do pudełka pocztowego. A w karczmie i chleb dobry, i zupa na krupach ze śmietaną wyśmienita, i jeszcze świece mają na każdym stole, co na moich kupnie mogę zaoszczędzić. Nikt mnie tutaj nie zna, i nikt nic nie wie, cokolwiek bym ludziom nie powiedział i tak by mi uwierzyli, chociaż krzywym okiem na mnie patrzą, bo umiem czytać i pisać. Strój też mam inny niż polscy chłopcy, bo zachodnio europejski surdut, a chłopcy nasi do swych kapot mocno przywiązani i podejrzliwi, taka ich natura nieufna, nie chcą ze mną się bratać, bo mówią jak czytać i pisać umiesz, toś niebezpieczny. Aby ich jeszcze bardziej wrogo do siebie nie nastawiać, nawet nie wspominałem com malował, a com pisał, a com rzeźbił, nikt tutaj na takie sprawy czasu nie ma. Zegarek srebrny kieszonkowy szpindlak też schowałem, bo w oczy ich kuł, gdy czas sprawdzałem. Ludzie praktyczni, kiedy chcą modlitwy, to naznaczają czas i dzień, w którym sami się modlą, i ściśle tego przestrzegają.

Co do mojego amerykańskiego życia, to jak wyżej pisałem całkiem ono się zmieniło, i europejskie wyparło, o sztukach pięknych zapomniałem, czasu na to nie ma, arystokracji nie ma wokół, i wszyscy wszystkim równi, a ludzie tylko pracą i modlitwą żyją. Obecnie Chicago z rzeźni słynie w całej Ameryce, drogami żelaznymi przywożą krowy z najdalszych prerii. Jestem wśród rodaków tłumaczem, bo po niemiecku dobrze mówię, nieopatrznie się wygadałem, gdy o ostrzeniu noży sprawy się miały. A ostry nóż i siekiera to podstawa pracy w rzeźni, to jak farby i płótno dla malarza. Pół Europy tej Wschodniej to rzeźnicy tutaj, i wszyscy wschodnio Europejczycy po polsku mówią, bo bez mowy polskiej, dla nikogo tutaj nie ma pracy, nawet dla Czechów czy Serbów, chyba, że to Niemiec, bo tylko Niemcy są tutaj ponad wszystkimi i tylko oni są majstrami. Tak się ułożyło, że żaden Słowianin nie może zostać przełożonym Niemca, choćby nie wiem jak dobrze by pracował. Ale nic to, ja sobie Amerykę pracowitą chwale i Chicago też, bo piękno na to jest, by zachwycało, – praca, by się przez nią zmartwychwstało. (C.K. Norwid, „Promethidion”, przyp. red).

Drogi Panie Adamie, jeśli mogę tak do Pan się zwrócić, zapraszam do Ameryki, czas na to, aby opisać ją, a w niej i rodaków naszych, przede wszystkim kobietę, jakim poematem ojczystym. Tom drugi *Pana Tadeusza*, czas napisać, w którym główną osobą była by kobieta z Chicago. Zosia w kuchni pracująca, albo gdzie u jakiś bogatych Amerykanów na

sprzątaniu, pilnowaniu dzieci i prowadzeniu domu. W moich oczach kobieta w Ameryce nabrała innego znaczenia niż w Europie, teraz wszystkie kobiety serdecznie kocham, w każdej widzę piękno i te wewnętrzne i te zewnętrzne. Czy to oprawę oka i tok spojrzenia — czy to ramię, czy szyi obrót, czy głos, czy udatność ruchu, czy serca powab, czy łzę, czy arabską linię łęku stopy — czy włosów jedwab... — W każdej takiej kocham się bardzo serdecznie, bez względu, azali jest matką, żoną, wdową, siostrą, imperatorową, wiejską dziewczyną, księżną rzymską, hrabiną austriacko-polską etc. Od wydania *Pana Tadeusza* dwadzieścia lat mija, nowe pokolenie się urodziło, poemat o Polsce w Ameryce *Pani Zosia* czeka na swojego mistrza, co by Pańskim talentem go napisał. Czas kobietę przedstawić ciężko pracującą na kawałek chleba u boku mężczyzny w Chicago, w Ameryce wielkiej i dającej naszym rodakom zarobić na chleb. Matka, żona, chrześcijanka, to, co w ojczyźnie najwyżej cenione, tutaj ma dwukrotną wartość. Niech w litewskich kniejach pozostaną tamtejsi szlachcice z XVIII wieku, awanturnicy, safandudy, facecjoniści, czy gawędziarze. Czas iść z duchem czasu XIX wieku. Zaokręć się Pan jak najszybciej do nas przybywaj, pokój mam obszerny dwa łóża w nim staną, zapraszam do siebie, Ameryka widziana oczami Polaka na swój poemat czeka.

Chicago, jesień 1853 rok.



Fot. Pixabay



A. Mickiewicz pisze list do C.K. Norwida

Szanowny i Wielmożny Panie!

Tego po Panu bym się nigdy nie spodziewał, że tak łatwo i szybko znalazł Pan w Chicago swoje miejsce na ziemi i pracę, której tak bardzo brakowało Panu w Europie. Nie będzie Pan jak Cygan szukający swojego miejsca, ale jak Żyd co znalazł swoją ziemię obiecaną i pracę po latach wędrówki. Co to za praca, Bóg raczy wiedzieć i niech on ma Pana w opiece. Emigracja polska to wioska za wioską chłopi skuszeni marzeniami o własnej ziemi i dolarach. Jak się Pan wśród nich odnalazł nie mam pojęcia, ale

Pana podziwiam, tak samo jak ich, bo ani oni, ani Pan nigdy nie pracowaliście pod dachem w fabryce, ani żadnej innej takiej instytucji, gdzie człowiek stoi obok człowieka i pracuje. Jak oni tam się czują, nie potrafię sobie wyobrazić, jak oni pracując całe życie w polu odnaleźli się w fabrykach i domach murowanych za tym oceanem, jeden Bóg raczy wiedzieć. Oni przybyli bez grosza, może, jeśli Bóg pozwolił z kilkoma dolarami w kieszeni bez zawodu, bez języka, bez umiejętności czytania i pisania. Ta droga w nieznane – pokładałam w Bogu nadzieję, – że nie będzie ich drogą krzyżową. Pan dla mnie jest pierwszym polskim szlachcicem, który pracuje w Chicago i to w rzeźni. W Ameryce, brata się z polskim ludem. Dla mnie jest Pan pierwszym polskim socjalistą, Polakiem, w którym uczucie socjalne stało się namiętnością, czynem i rzeczywistością, a wybuchnie ono w duszy ludzi prawdziwie religijnych i patriotycznych, takich właśnie jak Pan. Uczucia religijne i patriotyczne są podstawą socjalizmu. Co z tym uczuciem Pan robi nie wiem, ale żałuję mocno, że nie napisał Pan do mnie, gdy jeszcze był w Nowym Jorku, w którym to mam sporo przyjaciół amerykańskich. Gdy pisał Pan do mnie jesienią tego roku właśnie mijały dwa lata jak umarł mój wielki przyjaciel James Fenimore Cooper, autor za pewno i Panu znanej powieści pod tytułem *Ostatni Mohikanin*, ulubiona lektura europejskich chłopców, a także i polskich, bo jest w języku polskim wydana. Pana Coopera wiele lat temu w 1830 roku poznałem w Rzymie i odnalazłem w nim bratnią duszę. To on w następnym roku 1831 w Paryżu, Komitet Amerykańsko-

Polski zorganizował śląc wielką pomoc dla powstania listopadowego. Nie muszę Panu pisać, jakim wielkim przyjacielem był on Polaków, zjednał na członków Komitetu przeszło stu wybitnych Amerykanów, przebywających wówczas we Francji, ułożył płomienną odezwę do narodu amerykańskiego, wykazując, że pomoc Polsce jest jego obowiązkiem i że prawa Polski są bezsprzeczne. Jego córka Zuzanna jest ze mną w stałym kontakcie, ale na Wschodzie Ameryki mieszka.

Wracając do Pana wiem, jak Pan bardzo ceni sobie sztukę europejską, jak bardzo cenił sobie salony francuskie i polskie w Paryżu, a tu teraz takie wiadomości mi piszesz. Pan należący do najwybitniejszych polskich artystów we Francji. Pan malarz i rzeźbiarz, poeta i myśliciel bardzo cenne swoje talenty rozmienia na drobne i przodownikiem pracy, tłumaczem rodaków w rzeźni niemieckiej zostaje. Trudno jest mi w to uwierzyć jeszcze o tych Pańskich zmianach życiowych do naszych znajomych i przyjaciół nie pisałem, nie chciałem żadnej sensacji robić wśród poetów Lenartowicza, Krasickiego, czy innych. Czekam na Pański następny list nie bardzo wierząc w to, co było napisane w pierwszym, bo jak zgaduję pisał Pan go pod wpływem emocji, albo i jeszcze innych okoliczności. Jestem przekonany, że w następnym liście wszystkiemu Pan zaprzeczy i napisze tym razem w innym tonie, że zamierza wystawić swoje świeżo wykonane prace artystyczne, bardzo wysoko cienione przez miejscowych znawców w jakimś zacnym miejscu w Chicago i tym

samym przyczyni się do powstania nowej sztuki amerykańskiej, renesansu Ameryki. Nie uwierzę, że emigracja chłopska sprowadziła Pana do jednowymiarowego poziomu wszystkich emigrantów, którzy swoją obecność w Ameryce tylko ciężką fizyczną pracą zaznaczają.

Jeśli wiąże Pan swoje życie i służbę dla rodaków w rzeźni, nie wiem, co miałbym Panu powiedzieć, co miałbym napisać. Wspomnę na nasze długie rozmowy o literaturze i filozofii, pozwoliły mi one przekonać się, że rozmawiam z człowiekiem równym europejskiej cywilizacji, umiejącym osądzić rzeczywistość życia codziennego z najbardziej wyszukaną poezją francuską czy niemiecką. I teraz ten list o tym, jakiego dokonał Pan sądu o swoim życiu na uboczu spraw wielkich, życia wydającego się spokojnego i cichego na ziemi Waszyngtona, ale wiem, że to złudzenie i to też Pan wie. Widzę w Pańskich słowach wiele nieszczęść, przez jakie przeszedł Pan w Europie i ta chęć do pisania o prawdzie i pięknie, bo tylko prawda może być piękna, bo tylko piękno może być dobrem. Że zrozumiał Pan, że te francuskie i paryskie ozdóbki, kwiatki w kryształach wstawione na stołach z marmurowymi blatami są niczym, jeśli w nim głębszej myśli nie ma. Te błyskotki świecące jak robaczki w maju, gdy nadejdzie ich czas gasną i nawet wspomnienie o nich nie trwa dłużej niż chwila.

Jak mawiają Amerykanie; *and now last but no least*, chciałbym

wrócić do Pańskiej propozycji napisania dalszej części *Pana Tadeusza* o kobietach w Chicago, albo w Ameryce pod tytułem *Pani Zosia*, i tu po raz kolejny Pan mnie zaskoczył. Pomysł wydaje mi się arcyciekawy i przedni, ale ja jak Pan wspomnieć raczył, od wielu lat poezji nie pisałem i pisać już nie chcę. Przecenia mnie Pan, to, co zrobiłem będąc młodym, zrobić w moim teraz wieku nie jestem w stanie. Tak samo jak do Ameryki nie zamierzam się wybierać, bo tu w Europie jest Polska i jej będę służył z całych moich sił dopóki mi ich starczy. Tutaj jest moja ojczyzna i rodzina, dzieci moje i moje sprawy do załatwienia. Poza tym nie zamierzam w Chicago w rzeźni pracować i po dziesięciu godzinach pracy ponad ludzkie siły w nocy świecę palić i poemat pisać, bo jak sam Pan wiesz, nikt tam złamanego grosza na poezję nie wyda, a polskiej arystokracji się tam nie znajdzie. Nie skarżę się na rodaków w Ameryce, co to za chlebem do niej popłynęli, a nie po poezję, i tutaj w Europie też za chlebem jesteśmy, ale do pisania wierszy w Chicago o polskich kobietach żadna siła mnie nie zmusi. Projekt Pański o Zosi uśmiech na mej twarzy wywołuje i nie mogę powstrzymać się od śmiechu, proszę wybaczyć mój styl i swawolność, ale znam powagę, piszemy o rzeczach ojczystych, powinno być zrozumiałe dla każdego, kto kocha Boga i ojczyznę, a zatem dla pokojowej, dla ekonoma, dla stangreta (czy jak u was mówią dla fornala) nawet. Pan myślisz, że moje śliczne pisanie będzie się rymowało i z myślenia zwalniało, a także z estetycznych i etycznych doznań. Dlatego się uśmiecham na Pańską propozycję, bo uważa Pan, że poemat *Pani*

Zosia szybko trafi pod strzechy, ale ich w Ameryce w dużym urbanistycznym mieście już niewiele a Polska daleko. Prawda jest taka, że moje pióro, czym innym teraz jest zajęte, moje serce i głowa gdzie indziej, poza tym każdy, kto chce pisać musi czytać, mówić i rozmyślać o tym, co chce napisać. Ameryka jest daleko, tylko od strony pieniądza podziwiana, jak żyją w niej Polacy być może za sto lat po nas ktoś o nich napisze, ale czy w Polsce będą chcieć o tym czytać tego nie wiem. Trzeba nam wielkiego zapasu cierpliwości. Dziękuję za pamięć. W domu u mnie wszyscy zdrowi, bądź zdrow też. Za chwilę kończy się ten rok 1853, niech dobry Pan Bóg sprawi, aby nowy był jeszcze lepszy. Życzę wiele szczęścia i łask Bożych.

Z poważaniem.

Adam Mickiewicz

*

Część 2:

Romantycznych poetów listy – hipotetyczna korespondencja Cypriana Kamila Norwida z Adamem Mickiewiczem. Część 2.



Zobacz też:

Ameryka w oczach i pamiątnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 1.

Ameryka w oczach i pamiątnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 2.

Adam Lizakowski – sześć wierszy o Chicago

Katyń – zbrodnia bez kary



Uroczystości „Katyń Pamiętamy – Uczcijmy Pamięć Bohaterów”,
Warszawa, Plac Marszałka Józefa Piłsudskiego, 9 listopada 2007,
fot. Archiwum Kancelarii Prezydenta RP, wikimedia commons

Aleksandra Ziółkowska-Boehm (*Wilmington, Delaware*)

W Stanach Zjednoczonych w 2007 r. ukazała się poważna praca
na temat Katynia zatytułowana „Katyń. Zbrodnia bez kary”

(Crime Without Punishment). Książkę wydało prestiżowe wydawnictwo Yale University Press, liczy 561 stron. Redaktorem całości jest historyk, profesor Anna M. Cienciała z Uniwersytetu w Kansas, autorka między innymi książki „Poland and the Western Powers. 1938-1939” (1968), „From Versailles To Locarno” (współautor: Titus Komarnicki), (1984). Redaktorami książki o Katyniu są także dr Natalia S. Lebedeva z Instytutu Historii Powszechnej Rosyjskiej Akademii Nauk i prof. Wojciech Materski, dyrektor Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk.

Ta praca o Katyniu zawiera wybór przetłumaczonych na język angielski dokumentów opublikowanych wcześniej w dwóch tomach rosyjskich i czterech polskich. W Polsce ukazały się także cztery tomy rosyjskich dokumentów pt. „Katyń. Dokumenty Zbrodni” przygotowane przez Naczelną Dyрекcję Archiwów Państwowych (1998-2006). Profesor Cienciała pisze o nich na początku książki w „Note on the Documents”. Całość książki, jak i poszczególne trzy części, poprzedzają doskonałe wstępy Anny M. Cienciały.



Pomnik Katyński na cmentarzu w Opocznie, fot. Janusz Krasicki



Pomnik Katyński w Gunnersbury, Londyn

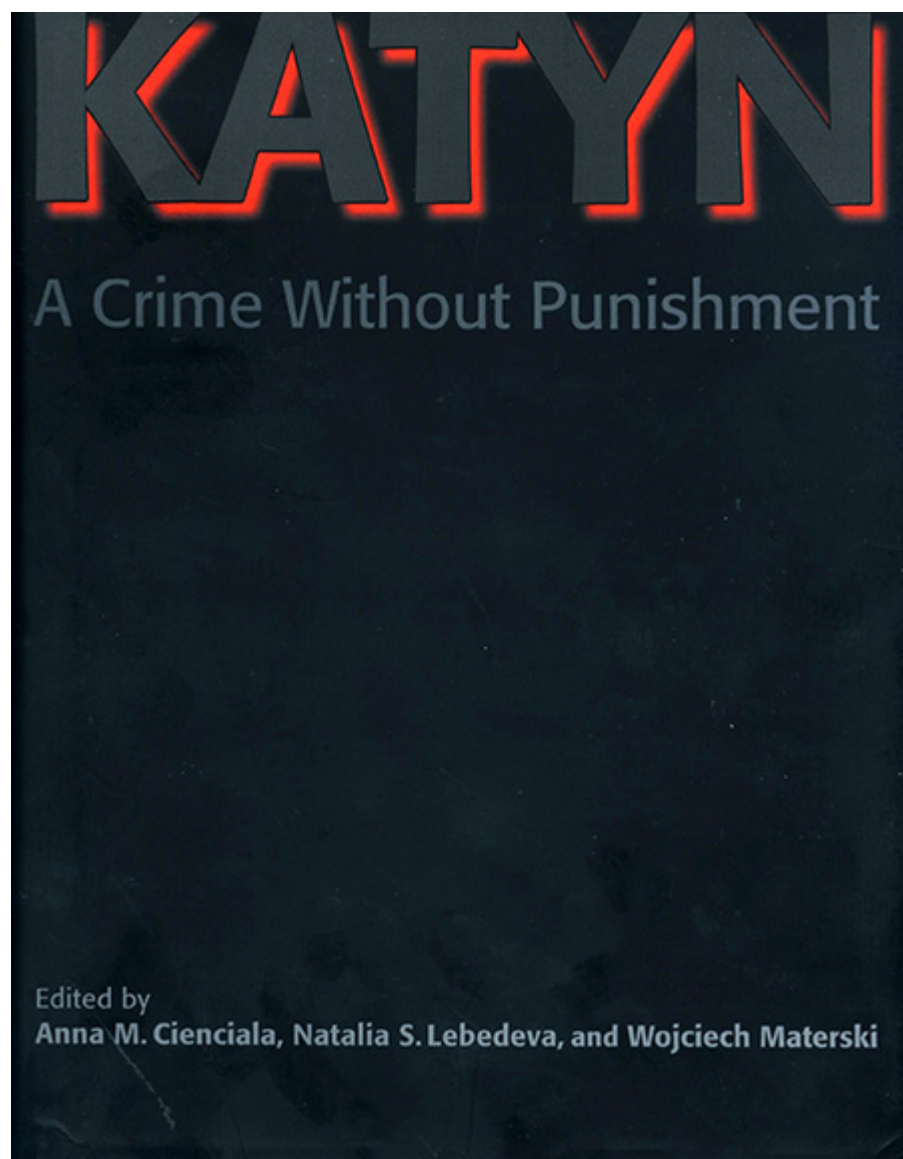
✱

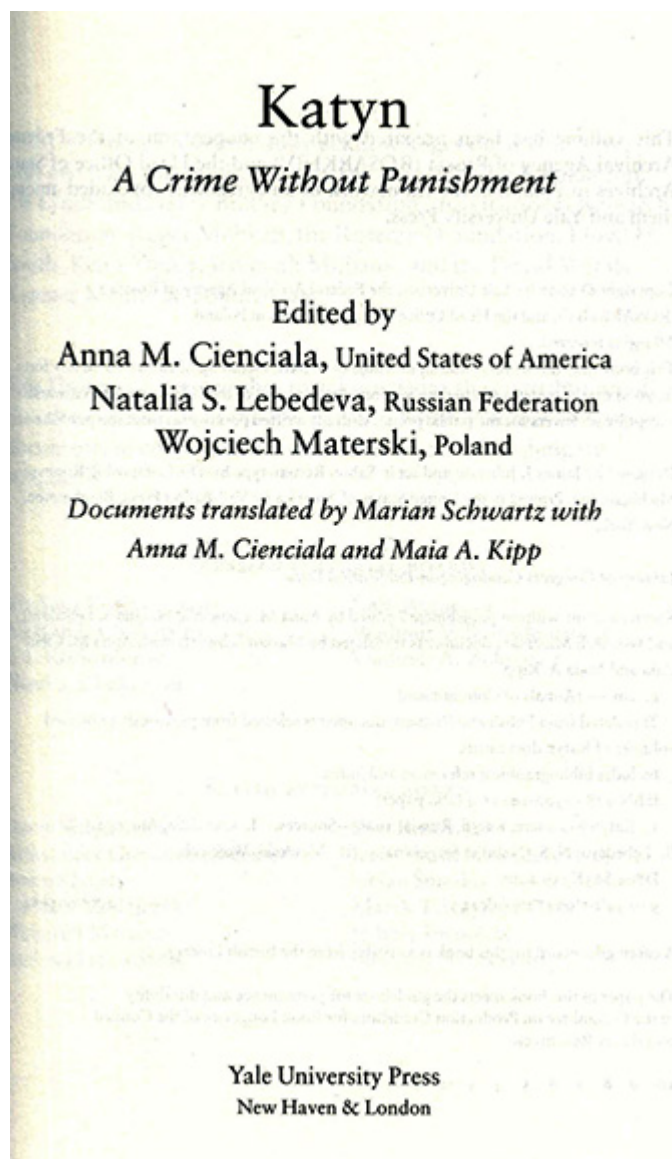
Dotychczas w kręgu języka angielskiego najważniejszą pozycją zarówno przed odtajnieniem dokumentów rosyjskich w latach 1989-95, jak i zachowującą dużą wartość wciąż teraz, jest książka J. (Janusza) K. (Kazimierza) Zawodnego, „Death in the Forest,” (University of Notre Dame Press, 1962, przedruki, Hippocrene, New York, 1988). Zawodny wydał też rozszerzone

wydanie polskie pt. „Katyń” z przedmową Zbigniewa Brzezińskiego (Lublin-Paryż, 1988). Książka J.K. Zawodnego zawiera wszystkie informacje dostępne przed odtajnieniem dokumentów rosyjskich pod koniec lat 80. i na początku lat 90. XX-go wieku. W 2005 roku na podstawie dokumentów rosyjskich w polskiej serii („Katyń. Dokumenty Zbrodni”, red. Lebediewa i Materski, tomy 1-4, Warszawa, 1995-2007) George Sanford, brytyjski politolog polskiego pochodzenia, wydał cenną książkę pt. „Katyń and the Soviet Massacre of 1940. Truth, Justice, and Memory” (Routledge, Londyn, oraz USA i Kanada, 2005). Książka zawiera starannie zebraną bibliografię.

Anna M. Cienciała uwzględnia także prace na temat Katynia, które ukazały się w Polsce po 1989 roku, między innymi wiele pryczyńków opublikowanych głównie w „Zeszytach Katyńskich.” Poza fundamentalną książką Jędrzeja Tucholskiego pt. „Mord w Katyniu. Kozielsk-Ostaszków-Starobielsk. Lista ofiar” (IW Pax, Warszawa 1991), ukazały się spisy nazwisk ofiar wydane przez „Kartę” oraz księgi cmentarne: Katyń i Charków (Tucholski jest też współautorem: „Charków. Księga Cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego” (Rytm, Warszawa, 2003). Warto przypomnieć ważną książkę, pierwsze polskie wydanie Józefa Mackiewicza: „Katyń. Zbrodnia bez sądu i kary” (Warszawa, Antyk 1997) przygotowane przez Jacka Trznadla, który poruszył tematykę Katynia w „Zeszytach Katyńskich”, jak także w opowiadaniach „Z popiołu czy wstanieś” (Arcana, Kraków

1995). Anna M. Cienciała przypomina (str. 398) kontrowersje wokół Mackiewicza i przyczynę, dlaczego jego praca „Zbrodnia Katyńska,” (1-sze wyd., Londyn, 1948) nie ukazała się pod jego nazwiskiem i została przypisana Zdzisławowi Stahlowi. Decyzja ta została podjęta by uniknąć kontrowersji, które krążyły o współpracy Mackiewicza z Niemcami, o które go oskarżyli komuniści. (Na ten temat są dwie książki Włodzimierza Boleckiego: „Ptasznik z Wilna” i „Wyrok” (obie 1991) wydane pod pseudonimem: Jerzy Malewski).





*

Książka „Katyn. A Crime Without Punishment” jest przede wszystkim przeznaczona dla czytelników języka angielskiego, którzy mało, albo w ogóle nic nie wiedzą o historii Polski i o zbrodni katyńskiej. Adresatem wstępów do każdej części jest więc czytelnik amerykański czy znający język angielski – który się interesuje II-a wojną światową, przestępstwami wojennymi, lecz mało wie, albo nic nie wie, o historii Polski i o stosunkach

polsko-rosyjsko/sowieckich.

Książka zawiera dokładnie 122 dokumenty, obszerne przypisy i aneksy, wybór map i ilustracji. Praca zawiera zbiór dokumentów, jak też przypisy, które pozwalają się zorientować w obszernej literaturze tematu. Na pewno adresatem przypisów końcowych (end notes) jest czytelnik, który chce zapoznać się ze źródłami opinii lub cytatami, które są podane we wstępach.

Czytelnik amerykański dostaje pełne opracowanie tematu katyńskiego (jak umownie mówi się o zbrodniach popełnionych także na jeńcach z obozów w Ostaszkowie i Starobielsku, które dotychczas nie są wciąż zbadane). Tom składa się z trzech części:

1. Jeńcy niewypowiedzianej wojny, 23 sierpnia 1939 – 5 marca 1940, 2. Zagłada, marzec-czerwiec 1940, 3. Katyń i jego echa –1940 – do czasów bieżących (2005).

Znakomita wiedza prof. Cienciały i jej kunszt edytorski wzbudza szacunek i podziw. Cienciała między innymi przypomina apel dr Zbigniewa Brzezińskiego o ujawnienie prawdy o Katyniu, porusza też kontrowersyjny temat, czy więźniowie wywiezieni do Griazowca, ocaleni zostali po to, by być potencjalnymi kolaborantami. (Większość okazała się być tak samo patriotyczna jak ich zamordowani koledzy, patrz dok. Nr 89).

Temat Katynia ożył w Stanach Zjednoczonych w związku z nominacją filmu Andrzeja Wajdy do Oscara. Na łamach „New York Review of Books” (Vol. 55, Nr 2, 14 luty 2008) zabrała głos pisarka Anne Applebaum, laureatka nagrody Pulitzera za książkę „Gułag”. Applebaum pisze na temat nabrzmiałych latami lęków i nieufności, które film przywrócił:

Tego rodzaju odczucia to typowe efekty uboczne nie tylko patriotycznego kina, ale patriotyzmu w ogóle. Te same emocje, które wiążą ludzi ze sobą – zachęcając ich do pracy na rzecz wspólnego celu, do budowy instytucji politycznych, do czynienia ich społeczeństwa bardziej wolnym i sprawiedliwym – są w jakimś sensie powiązane z emocjami, które u tych samych ludzi powodują paranoję wobec cudzoziemców i nieufność wobec niepatriotycznych sąsiadów z tej samej ulicy, którzy głosują na inną partię polityczną. Zbyt wiele patriotyzmu przeszkadza demokracji i ogranicza społeczeństwo obywatelskie. Z drugiej strony, bez pewnej dawki patriotyzmu demokracja nie jest w ogóle możliwa.

Anna M. Cienciała jest autorką wielu współczesnych omówień historycznych. Na łamach nowojorskiego „Przeglądu Polskiego” (dodatku do polonijnego „Nowego Dziennika”) pisała między innymi o śledztwie katyńskim z lat 1990-2005. Zastanawia się nad tym, że aczkolwiek stanowisko rosyjskie względem Katynia

jest znane od lat, to dlaczego nie było śledztwa polskiego? Przypomniała, że śledztwo polskie wszczęto w latach 90. ub. wieku, ale zostało zaniechane, gdyż ministerstwa sprawiedliwości obu państw nieoficjalnie uzgodniły – zapewne w celu niepogarszania wzajemnych stosunków – pozostawić je stronie rosyjskiej.

Na temat rosyjskiego spojrzenia na zbrodnie wypowiadał się Jędrzej Tucholski:

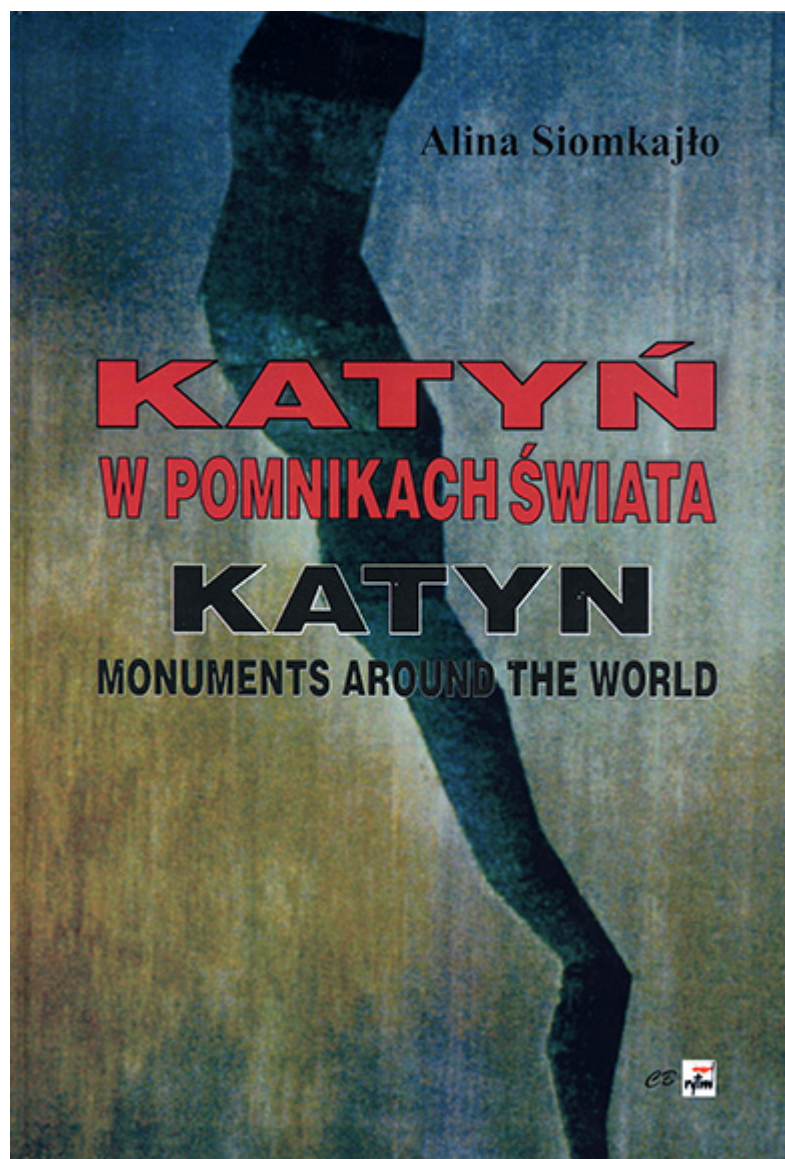
Kiedy w 1991 roku mówiło się, że jest to zbrodnia ludobójstwa, to samo powtarzali Rosjanie. Obecnie się z tego wycofali na rzecz zwykłego przestępstwa kryminalnego (Biuletyn IPN, 05-06/2005).

Anna Cieniała pisze na ten temat:

Jak wiadomo, stanowiska Polski i Rosji wobec zbrodni katyńskiej są diametralnie różne. Strona polska postrzega ją jako ludobójstwo na podstawie konwencji o ludobójstwie z 1948 r. Strona polska podkreśla, że ludobójstwo jest uznane w prawie międzynarodowym za zbrodnię nie podlegającą przedawnieniu, domaga się potępienia i ukarania odpowiedzialnych – ze Stalinem na czele – jak też

wykonawców zbrodni. Natomiast prawnicy rosyjscy odrzucają oskarżenie o ludobójstwo, zaliczając zbrodnię katyńską (która umownie obejmuje również masakry więźniów polskich w Charkowie [Starobielsk] i Twerze [Ostaszków], jak też więźniów z więzień NKWD na zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainie, w sumie 21 768 ofiar) do zbrodni pospolitych według kodeksu kryminalnego ZSRR obowiązującego w 1940 roku, a więc za zbrodnię podlegającą przedawnieniu. (...) Trzeba pamiętać, że dokumenty dotyczące zbrodni na polskich jeńcach wojennych wpierw odkryli i opublikowali historycy rosyjscy – Natalia S. Lebiediewa, Walentyna Parsadanowa i Jurij Zoria, wspierani przez bliskiego doradcę prezydenta Gorbaczowa, prezesa komisji ds. rehabilitacji ofiar stalinizmu Aleksandra N. Jakowlewa (Lebiediewa i Jakowlew otrzymali wysokie polskie odznaczenia państwowe). Oprócz tego w poszukiwaniu miejsc kaźni, jak też w szerzeniu informacji o zbrodni na polskich jeńcach i więźniach, Polakom wydatnie pomagali członkowie rosyjskiego stowarzyszenia Memoriał. Powinniśmy pamiętać o wkładzie tych Rosjan w odtajnianie zbrodni katyńskiej, tym bardziej, że jest to w Rosji działalność bardzo niepopularna, bo godzi w rosyjską dumę narodową, która nadal hołduje pamięci *Wielikoj Oteczestwiennoj Wojny* (wielkiej wojny ojczyźnianej).

Anna M Cienciała także przypomina, że na temat zbrodni katyńskiej zapadło milczenie także ze strony aliantów, Anglii i Stanów Zjednoczonych, dla których w czasie wojny Rosja też była aliantem. Prezydent Franklin Roosevelt w czasie wojny skutecznie ignorował materiały, które mu na temat Katynia przedstawiano. Było tak także już po zakończeniu wojny. Pierwszy raz sprawa Katynia pojawiła się na forum politycznym, kiedy wzięła ją w swoje ręce Komisja Kongresu USA po wybuchu wojny koreańskiej. Kongresowa komisja Raya Maddena zgromadziła jako dowody zbrodni olbrzymi materiał, który został częściowo opublikowany.



Podobnie pro-sowiecko zachowała się wiele już lat po wojnie Wielka Brytania. Około 1970 roku pojawiła się inicjatywa budowy pomnika katyńskiego w londyńskiej dzielnicy Kingston-Chelsea, na którego postawienie władze brytyjskie kilka lat nie wyrażały zgody, aż wreszcie w 1976 roku Polonia brytyjska postawiła pomnik na cmentarzu Gunnersbury, miejscu pochówku około 1600 Polaków, w tym generałów Józefa Hallera, Tadeusza Bóra-Komorowskiego. Jak pisze Alina Siomkajło w książce :”Katyń w pomnikach świata”(Rytm, Warszawa 2002):

Po latach uciążliwych zabiegów angielsko-polskiego Komitetu Budowy Pomnika, przewycięzania kilkudziesięciu protestów ambasady sowieckiej i ambasady PRL w Wielkiej Brytanii, zarazem przy wyjątkowym poparciu (również finansowym) pomnikowej inicjatywy przez Kongres Polonii Amerykańskiej w Chicago, doszło w końcu do wystawienia pierwszego, wyprowadzonego z polskich pomieszczeń zamkniętych lub ogrodzonych, monumentu katyńskiego na londyńskim cmentarzu.

Ośłonięcie nastąpiło przy udziale zebranych w ilości 8 tysięcy ludzi. Jednocześnie pojawiały się prace Louisa FitzGibbona („Katyn - A Crime Without Parallel”, Londyn 1971), w BBC pokazano program na temat Katynia (1972).

Praca „Katyn. A Crime Without Punishment” stanowi wielki krok w kierunku upowszechnienia badań na temat tej zbrodni wśród angielskojęzycznych czytelników na całym świecie, książka wiosną 2007 ukazała się w Londynie. Fakt, że ukazała się w Stanach Zjednoczonych wydana przez wydawnictwo cenionego uniwersytetu Yale także ma duże znaczenie.

Katyn. A Crime Without Punishment, Edited by: Anna M. Cienciala, Natalia S. Lebedeva, and Wojciech Materski, Yale University Press, New Haven and London, 2007, str. 608.

Recenzja ukazała się w „Liście oceanicznym”, dodatku do „Gazety”, Toronto, marzec 2008.

*

Zobacz też:

Historia lubi się powtarzać

Wystawa prac Kazimierza Głaza w Muzeum

Uniwersyteckim w Toruniu



Kazimierz Głaz, malarstwo, Muzeum Uniwersyteckie przy
Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu

**Od 22 listopada 2022 roku do 28 kwietnia 2023 roku w
Muzeum Uniwersyteckim przy Uniwersytecie Mikołaja
Kopernika w Toruniu, ma miejsce wystawa malarstwa
wybitnego artysty z Toronto, twórcy sensybilizmu,**

Kazimierza Głaza. Wystawa została przygotowana z okazji II Zjazdu Badaczy Polonii. Kuratorem wystawy jest Kasia Moskała.

*

Kazimierz Głaz urodził się 26.03.1931 roku w Borkach Nizińskich w woj. podkarpackim. W 1950 r. ukończył szkołę średnią w Mielcu. Studiował malarstwo w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. W 1955 r. wziął udział w Ogólnopolskiej Wystawie Młodych w Warszawie „Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi”, zwaną też Arsenalem, która była wystąpieniem przeciwko stylistyce socrealizmu. Ostatni rok studiów spędził w Wałbrzychu, gdzie odbył praktykę dyplomową. Studia ukończył w 1956 r. W Wałbrzychu mieszkał, tworzył i pracował w zakładach graficznych kalkomanii – Cerfarba aż do 1968 r. W ostatnim roku pobytu, otrzymał specjalną Nagrodę Artystyczną Miasta Wałbrzycha. Tutaj artysta założył teatr-kabaret satyryczny nazwany Niezależna Szopka Sensybilistyczną – ruch ten był początkiem sensybilizmu, a spektakl pt. „Sensybilizm, czyli nie wolno robić z publiczności balona” – wystawiony w 1957 r. w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu, uważany jest za pierwszy happening w Polsce. W maju 1962 r. Związek Polskich Artystów Plastyków we Wrocławiu zorganizował wycieczkę do Moskwy i Leningradu, w której artysta wziął udział. Z podróży tej przywiózł fascynację sztuką

bizantyjską. Jesienią 1962 r. we Wrocławiu wystawił po raz pierwszy cykl prac pt. „Impresje Moskiewskie”.





W 1965 r. na Ogólnopolskiej Wystawie Malarstwa Młodych w Sopocie pokazał kolejne prace z tego cyklu, które przyniosły mu roczne stypendium twórcze Ministerstwa Kultury i udział w IV Międzynarodowym Biennale Malarstwa w Paryżu. Impresje Moskiewskie zostały pokazane w Pawilonie Polskim, gdzie zachwycił się nimi zwiedzający wystawę Marc Chagall. Na wniosek Chagalla, Głaz otrzymał Nagrodę Erasmus Prize na trzyletni pobyt i pracę artystyczną we Francji. Dzięki Fundacji Mihaly'ego Károlyi w latach 1966 – 1968 przebywał w Vence na

Riwierze Francuskiej, gdzie poznał wiele osobistości świata sztuki i kultury m.in. Marka Chagalla, Jeana Miró, Maxa Ernsta, Józefa Jareme i Witolda Gombrowicza. W 1985 r. Głaz wydał książkę pt. „Gombrowicz w Vence”, będącą zapisem wspomnień artysty z pobytu na Lazurowym Wybrzeżu i przyjaźni z pisarzem. W 1968 r. Głaz przeniósł się do Kanady i zamieszkał w Toronto nad Jeziorem Ontario. Rok później otworzył ośrodek sztuki współczesnej – Toronto Center for Contemporary Art, który otrzymał dotacje finansowe od Rządu Federalnego i Prowincji Ontario. Misją ośrodka jest edukacja artystyczna dzieci i młodzieży oraz tworzenie stałych kolekcji sztuki współczesnej w szkołach (Community Art Collections). Artysta pracował także na Wydziale Sztuki Centralnej Szkoły Technicznej na stanowisku profesora grafiki i rysunku. Wydał wiele grafik i książek bibliofilskich z opowiadaniem własnego autorstwa. W 1972 r. stworzył swoją pierwszą, bardzo liczną serię prac graficznych (litografie) pt. „Ujęcie III, esoteryczne”. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych, ale wystawiał przede wszystkim na wystawach indywidualnych. Jego prace znajdują się w największych i najważniejszych kolekcjach malarstwa w Muzeach i Galeriach na całym świecie. Oprócz twórczości artystycznej artysta pochłonięty był nauką języków obcych oraz corocznymi podróżami po Europie.

Galeria



















*

Fotografie: Muzeum Uniwersyteckie w Toruniu.

Strona muzeum: <http://www.muzeum.umk.pl/>

*

Zobacz też:

W poszukiwaniu piękna. Kazimierz Głaz.

Kazimierz Głaz. Gwasze.

Prawo sensybilizmu

Paryż, Luksemburg i nagroda Marca Chagalla

Brylant. Część 2.



Salon w zamku Warwick, Wielka Brytania, XIX w., ilustracja książkowa, źródło: wikimedia commons

Wojciech Wilczyński (*Warszawa*)

VI

Karolina długo nie mogła zasnąć. Spozrzegła, że ich gość wpatrywał się w nią jak w obrazek. Tyle emocji jednego wieczoru, gdy zwykle tak jednostajnie upływa dzień za dniem. Cieszyła się na jutrzejszą trasę z nowo poznanym gościem. Miał kilka siwych włosów, co tylko dodawało mu uroku. Zastanawiała

się, ile ma lat. Gdy spojrzała na zegar zrozumiała, że to jutro jest już dziś, bo wskazówka godzinowa minęła północ.

Nie inaczej rzecz się miała z Edwardem. Oszołomiony urodą i spontanicznością Karoliny, mimo zmęczenia nie mógł zasnąć, wciąż układał się na innym boku. Nie spodziewał, że spotka na swej drodze tak fascynującą istotę. Żyły z matką z dala od zgiełku miasta, zajęte swoimi winnicami. Karolina była jak młoda róża, na której płatkach osiadły krople porannej rosy. Edward postanowił, by jutro rozmawiać z nią jak najwięcej. Pragnął poznać świat jej emocji, a sam wykazać się erudycją i sprawnością. Jeśli nadarzy się ku temu okazja.

Podczas śniadania uzgodnił z obiema paniami, że najwięcej zobaczy, gdy pojedą konno. Trzy wierzchowce ruszyły stępą, który wkrótce zamienił się w kłus. Patrzył zachwycony na Karolinę, która jadąc na koniu była w swoim żywiole. Widział, że kocha swojego rumaka. Traktowała go delikatnie, a gdy trzeba stanowczo. Jej jedność z własnym koniem była doskonała. Emma jechała przodem, a Edward z Karoliną nieco z tyłu. Dużo rozmawiali i wciąż żartowali. Pół dnia zajęło zwiedzenie całej posiadłości. Mieli wiele czasu na dyskusje o historii Anglii, geografii a nawet ekonomii. Stwierdził, że guwernerzy wpoili Karolinie wiedzę, jakiej inne panny w jej wieku mogłyby pozazdrościć. Jest zdolna i ma dobrą pamięć, więc wszystko chwyta w mig – pomyślał. W drodze powrotnej Karolina pognała

galopem i w poczuciu zwycięstwa z fantazją zatrzymała konia przed Crystal House. Ten dzień i następny, podczas którego Edward i Karolina we dwoje pojechali dwukółką do Dorking, upłynęły jak sen. Córka Thomasa Cambridge'a podziwiała smukłą i mocną sylwetkę Edwarda oraz jego rozmarzone oczy, których wciąż nie mógł od niej oderwać.

W piątek wieczorem, podczas kolacji, Edward zaprosił obie Panie do Ashbourne, by życzeniu obu ojców stało się zadość. Wspólnie zastanawiali się nad datą pobytu. Chodziło o to, by znaleźć taki czas, który nie będzie kolidować z okresem żniw w Ashbourne i winobrania w Surrey. W końcu ustalono datę przyjazdu Pań Cambridge do Ashbourne na połowę sierpnia. Karolinę ogarnął smutek – mieli się spotkać dopiero za trzy miesiące. Od razu pomyślała, że będą to najdłuższe miesiące w jej życiu.

Edward również zdał sobie sprawę, że trzy miesiące to długi okres. Podczas wieczornego spaceru wziął Karolinę za rękę i by nie zostawiać wątpliwości, patrząc jej w oczy, powiedział:

- Karolino, nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Zawładnęłaś moimi myślami, jesteś piękna i wykształcona. Nie wiem jak przetrwam te trzy miesiące bez ciebie. Nic nie powiedziała, tylko wspięła się na palce i przylgnęła ustami do jego policzka. Wtedy mocno przygarnął ją ku sobie i pocałował, chcąc poznać smak jej ust i poczuć jędrność młodych piersi. Ta

chwila musiała im wystarczyć na najbliższe trzy miesiące.

VII

Sobotnim rankiem, gdy stangret wkładał walizki do faetonu, Edward uścisnął ręce Emmy i Karoliny. Wzruszony, podziękował za wspaniałe dni, które spędził dzięki nim. Po chwili powóz odjechał, a kobiety widziały ciągnący się za nim obłok kurzu, aż do momentu, gdy znalazł się za wzgórzem.

Emma i Karolina wróciły z podjazdu do środka domu zupełnie oszołomione. W Emmie obudziły się wspomnienia lat spędzonych z młodym Thomasem, zaś Karolina nie wiedziała jak poradzić sobie z tęsknotą za człowiekiem, którego poznała zaledwie przed trzema dniami. Prawie w ogóle nie rozmawiały. Każda przebywała we własnym świecie.

Gdy Jeremy zobaczył buggy zajeżdżające przed dom, było kilka minut po trzeciej. Ustalili wcześniej, że dzisiaj Edward będzie nocował u niego, bo spotkanie z przyjaciółmi zaplanowano na szóstą. Zaraz odesłał go do łazienki i doradził, by uciął sobie przynajmniej godzinną drzemkę.

Edward stosował się do rad Jeremyego, ale wydawał się jakiś nieobecny. W trakcie przyjęcia, na które tak cieszył się wcześniej, mówił i pił niewiele. Gospodarz nie mógł się nadziwić.

W nocy, po spotkaniu, zapytał stangreta czy coś złego nie przytrafiło się Edwardowi. Ten jednak nie umiał niczego wyjaśnić. Przebywał w innych pomieszczeniach, gdzie karmiono i pojono go po królewsku, więc spał i odpoczywał, doglądał koni, ot i wszystko. Rano Edward oświadczył niespodziewanie Jeremy'emu, że musi skrócić pobyt w Londynie, bowiem doszły do niego wieści o kłopotach w majątku. Pożegnali się więc, a Jeremy był zmuszony odwołać umówione wcześniej spotkania. Zaczynał się domyślać, że przemiana Edwarda nastąpiła w Dorking, ale o co chodziło – nie był w stanie odgadnąć. Edward wyjechał z Londynu w niedzielę rano, po śniadaniu.

VIII

Przygotowania na przyjazd pań Cambridge zajęły dwa tygodnie. Odświeżono wszystkie pomieszczenia przeznaczone dla gości, główny salon i hol. Uzupełniono potłuczoną zastawę i sztucce, zakupiono kilka nowych dywanów, naprawiono uszkodzone drzwi i nieszczelne okna. Kilka mebli odświeżono, więc ślady zapachu politory unosiły się jeszcze w części pomieszczeń. Panie informowały w liście o planowanym przyjeździe szesnastego sierpnia, po południu. Tego dnia Edward poprosił kamerdynera, by obserwował drogę dojazdową. Gdy powóz zbliżał się do pałacu stał na schodach by przywitać gości. Zauważył, że obie panie wyglądały doskonale i ciężka podróż nie zostawiła na nich żadnych widocznych śladów. Służba, zgodnie z wydanym

poleceniem, stała w jednej linii przy wejściu, dzięki czemu mógł przedstawić ich wszystkich. Takiej ceremonii w Ashbourne nie było od lat. Zabrano bagaże i wszyscy udali się do salonu.

Karolina podziwiała piękny pałac, który był wiele razy większy od ich domu. Edward wrzucił ją wręczając na powitanie wielki kosz róż. Podziwiała jego stosunek do służby, serdeczny i pełen zaufania. Dało się zauważyć, że między wszystkimi mieszkańcami Ashbourne panuje więź, niespotykana gdzie indziej. Następnego dnia podczas uroczystego obiadu nastąpiło kulminacyjne wydarzenie. Edward wręczył Karolinie, jedynej córce Thomasa Cambridge'a wspaniałą brylant. Życzeniem Thomasa było, by przekazać brylant jego potomkom, wyjaśnił. Brylant, którego nikt wcześniej nie oglądał sprawił na zebranych ogromne wrażenie. Był wart majątek, z pewnością wiele, wiele tysięcy funtów.

Pobyt pań Cambridge w Ashbourne potrwał blisko trzy tygodnie. Edward nie chciał zgodzić się na ich wcześniejszy wyjazd, zapewniając każdego dnia inne atrakcje. Oboje z Karoliną spędzali ze sobą mnóstwo czasu, ale o wiele za mało, niżby pragnęli. Od momentu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, wiedział, że zrobi wszystko, by została z nim na zawsze. Tygodnie spędzone razem w Ashbourne niczego nie zmieniły, był szczęśliwy i pewien swojego wyboru. W połowie trzeciego tygodnia potajemnie rozmawiał z Emmą Cambridge. Poinformował o tym, że jutro oświadczy się Karolinie podczas

obiadu, na który zaprosił gości z sąsiednich posiadłości i przyjaciół z Londynu. I poprosił o jej zgodę na ten związek.

- Niech Karolina sama decyduje - powiedziała Emma. Jest już dorosła. Ja nie mogę stanąć na jej drodze do szczęścia.

Następnego dnia doszło do zaręczyn. Karolina Cambridge została narzeczoną Edwarda Cunninghama, a po kolejnych trzech miesiącach jego żoną. Zamieszkała w Ashbourne, razem z Edwardem. Żyli w szczęśliwym związku. Po czterech latach mieli syna i córeczkę.

IX

Któregoś zimowego wieczoru Edward postanowił przejrzeć stos papierów, który zalegał w jednym z biur. Przeglądał je po kolei, większość niszcząc i od razu wyrzucając do kominka. Wśród nich dostrzegł pożółkły rachunek wraz z podpisanym certyfikatem. Przyjrzał mu się uważnie. Na rachunku firmy jubilerskiej z Brighton widniała data - dwunasty czerwca 1815 rok. Kupującym był Philip Cunningham z Ashbourne, zaś przedmiotem zakupu - brylant. Cena opiewała na dwanaście tysięcy funtów. Obejrzał certyfikat kamienia i stwierdził, że jego opis i parametry dokładnie odpowiadają brylantowi, który przekazał Karolinie Cambridge, jako depozyt wręczony jego ojcu przez Thomasa Cambridge'a w 1804 roku. Edward długo

przyglądał się pozólkłym dokumentom. Nie miał jakichkolwiek wątpliwości. Zapisał w notesie dane z certyfikatu, po czym rachunek i certyfikat wrzucił do ognia. Z wielkim wzruszeniem pomyślał o swoich rodzicach, a z oczu popłynęły mu łzy.



Cześć 1:

Brylant. Część 1.

Wojciech Wilczyński



Urodzony w Warszawie. Absolwent SGH. Píše i wydaje książki od 2012 roku. Pracował na różnych stanowiskach i w kilku zawodach. Był urzędnikiem państwowym, managerem w handlu zagranicznym, szefem budów za granicą, prezesem firm handlowych, biegłym sądowym, tłumaczem dokumentacji technicznych, z-cą dyrektora instytutu. Poza Polską mieszkał 12 lat, wśród innych kultur, ludzi z różnych środowisk społecznych i zawodowych. Posługuje się językami obcymi: hiszpańskim, rosyjskim, angielskim i niemieckim. Od 2018 roku na bazie WordPress prowadzi polsko-hiszpańską stronę autorską, z której można pobrać w wersji ebook pięć książek, opowiadania, prozę poetycką, także reportaże. Na YouTube uruchomił kanał z własnymi opowiadaniem i : wojciech wilczynski nowele – liczba audiobooków przekroczyła czterdzieści. Współpracuje z licznymi organizacjami polonijnymi, m.in. Radiem Polonia Montreal Kanada. Wszystkie książki autora ukazały się w wersji papierowej. Pojawiają się co roku na licytacjach WOŚP, dostępne są w ofercie antykwariatów internetowych i na allegro.

*

Opowiadanie „Brylant” na YouTube jako audiobook. Czyta Beata Niedziela - aktorka Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie:

Jestem trochę
Polakiem, ponieważ
jestem wielojęzyczny

Z Marco Americo Lucchesim, brazylijskim poetą, naukowcem,
eseistą, tłumaczem – rozmawia Aleksandra Ziółkowska-Boehm.



Marco Lucchesi, fot. arch. Aleksandry Ziółkoskiej-Boehm

Pasją Marco Americo Lucchesi jest poezja. Tłumaczył na język portugalski poetów takich jak: Nagib Mahfuz z Egiptu, Umberto Eco i Mario Luzi z Włoch, Paolo Dall'Oglio z Syrii. Lucchesi pięknie promuje poezję polską w Brazylii. Gdy był redaktorem naczelnym „Poesia Sempre”, pisma Biblioteki Narodowej w Rio de Janeiro, w roku 2008 (Poesia Sempre, numer 30, rok 15 / 2008), ukazał się numer specjalny poświęcony właśnie polskiej poezji. Prowadził wykłady z literatury w Niemczech, we Włoszech, Francji. Jego książki zostały przetłumaczone na wiele

języków: od angielskiego po urdu i bangla. W języku polskim w tłumaczeniu Henryka Siewierskiego ukazał się jego tomik zatytułowany 21 wierszy (Tesseractum, 2021).

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: Urodził się Pan w 1963 roku w Rio de Janeiro. Jak Pana włoska rodzina pochodząca z Toskanii znalazła się w Brazylii? W jakim języku mówiono w domu?

Marco Americo Lucchesi: Moja rodzina pochodzi z prowincji Lucca, z małego miasteczka Massarosa, położonego między morzem, górami i jeziorem Massacciucoli. Miasteczko to kochał i często odwiedzał Giacomo Puccini. Moi rodzice znali się od dzieciństwa. Tak się złożyło, że podczas II wojny światowej nasze miasteczko zostało wyzwolone przez wojsko brazylijskie i w ten sposób również dalsze dzieje naszej rodziny zostały związane z Brazylią. Przede wszystkim dlatego, że mój ojciec otrzymał propozycję pracy w branży komunikacyjnej. Moja babcia ze strony matki również przybyła do Brazylii. Miał to być pobyt tymczasowy, ale w końcu ich prochy spoczęły na ziemi brazylijskiej. Na ziemi, która jest teraz dla mnie ziemią świętą. To wspomnienie przywołuje wiersz Miłosza: stare kobiety w kościele, ich straconą młodość, ich piękno, ich kruchość! W domu mówiliśmy po włosku, zaś po portugalsku tylko w szkole. Dlatego kiedy mówię po włosku, ludzie od razu rozpoznają mój tokański akcent.

Szkołę i studia (magisterium i doktorat z literatury, habilitacja z historii) kończył Pan w Brazylii. Jak Pan wspomina okres studiów?

Jako skok w świetliste głębiny! Jeszcze przed studiami na uniwersytecie pożerałem książki. Od dwunastego roku życia moi nauczyciele byli dla mnie oknem na świat. Oknem – ale nie przykładem. Czułem się jednakowoż nieraz samotny i starałem się zachować moją niezależność pomiędzy umiarem i belcanto. Historia przemawiała do mnie przez Heraklita, a literatura przez Parmenidesa. I jeden, i drugi byli dla mnie ważni. Nawiasem mówiąc, obecność klasyków, muzyki, pianina, Dantego jest esencją śródziemnomorskiego *joie de vivre*. Do dziś wysoko cenię historię filozofii i nie potrafię obyć się bez perspektywy przeszłego czasu.

Skąd u Pana pasja i zapal do znajomości języków obcych? Czyta Pan i porozumiewa się w językach: portugalskim, włoskim, niemieckim, francuskim, angielskim...

I w jeszcze kilku innych. Być może to kwestia genów: mój dziadek ze strony ojca był poliglota. Ponieważ jestem wielojęzyczny, to być może jestem także trochę Polakiem. Żartuję – moja znajomość języka polskiego jest tylko pasywna, niemniej podczas spotkania w Stowarzyszeniu Polskich Pisarzy i brazylijskiej Akademii Literatury udało mi się wygłosić krótkie

przemówienie po polsku. Nauka języków obcych to nałóg, którego nie potrafię się pozbyć. Ale teraz już uczę się mniej intensywnie, bo zaangażowałem się w wiele projektów literackich i muzycznych. Być może to wszystko wynika z mojego dwujęzycznego pochodzenia i wychowania, a także z tego, że wyznając miłość, czynię to w dwóch językach. Pewnego razu, odwiedzając więźniów, poznałem Rumuna i mówiliśmy po rumuńsku. Na pożegnanie uściskał mnie serdecznie, bowiem tam, w więzieniu, stał się, jak mówił, sierotą własnego języka. Nigdy nie zapomnę tego spotkania! Słowa potrafią być aniołami lub demonami, zależnie od naszego wyboru.

Jak zaczęła się Pana nauka języka polskiego?

Mój pierwszy kontakt z językiem polskim zawdzięczam znajomym, Józefowi Lutkowi i jego żonie. Byłem bardzo młody, gdy zacząłem uczyć się tego niezwykłego „spotkania” spółgłosek i osobliwego nosowego dźwięku. Dźwięku, który pozwala odkryć, jak starodawny on jest wśród języków słowiańskich. No i oczywiście postać Jana Pawła II, która mi otworzyła inne horyzonty. Nauka rosyjskiego z kolei pomogła mi pogłębić i rozszerzyć słownictwo. Przede wszystkim zostałem oszołomiony wielkością poezji Mickiewicza, Różewicza, Herberta i Miłosza. Szczególnie zaś powieściami i dramaturgią Gombrowicza. Oczywiście również i wielu innych pisarzy, ale wspominam tu tych, którzy zaprowadzili mnie do księgarni w Paryżu. No a

potem był Assimil i moja pierwsza podróż do Krakowa. Jakże pamiętna!

To z wczesnej nauki gry na fortepianie, śpiewu, języków obcych wyniósł Pan tak głębokie i szczególne przygotowanie do „wejścia w dorosłość”?

Języki obce pozwalają zrozumieć świat i umożliwiają opowiedzenie o jego pięknie, jego tajemnicy, nadziei i okrucieństwie. Język jako taki jest filozoficznym sposobem na to, by zrozumieć wszystko, co nieuchwytnie. Jest dla mnie, powiedziałbym, wokalnym tembrem, akcentem, cegłą wieży, której już nie ma. Z tego punktu widzenia *langue* i *parole* może też być odebrane jako śpiew chóralny. Głosząc takie prawdy, mam na myśli utwory Gombrowicza czy „Wesele”, ale także dzieła Brunona Schulza. Każdy język jest poetyckim systemem samym w sobie. Każdy język zasługuje na swojego poetę. Obecnie tłumaczę tureckiego poetę Yunus Emre ze słownika osmanli.. Zachwycam się wspaniałymi, dźwięcznymi głoskami: jak ü, jak polskie ł i nosowy dźwięk ą! Tajemnice orkiestry – dla mnie boskiej.

Do głosek dochodzi muzyka.

Jak wspomniałem, to drugi z moich nałogów. Zawsze uwielbiałem grać na pianinie. Nie jestem wirtuozem, ale staram

się grać jak najlepiej i codziennie ćwiczę. Śpiewanie jest również moją wielką pasją. Codziennie śpiewam moje ulubione arie i inne pieśni operowe, które znam na pamięć. To wszystko krąży w moich żyłach. Innym moim przyjacielem obok pianina jest teleskop. Bowiem: studiuj gwiazdy i pentagram, albo czytaj gwiazdy w pentagramie Cyclerona, muzykę w niebieskich globach. Jednak w rzeczywistości chodzi o sprawy o wiele prostsze... Mój ojciec był bardziej „geometryczny”, a moja mama bardziej „liryczna”. Jakże wielką radość przeżywam wciąż ulokowany pomiędzy – z jednej strony gwiazdzistym niebem, a z drugiej czarnymi klawiszami...

Rozmawiała Aleksandra Ziółkowska- Boehm.

Wywiad ukazał się [w:]: ODRA, Wrocław, grudzień 2022 str. 72-73.

Zobacz też:

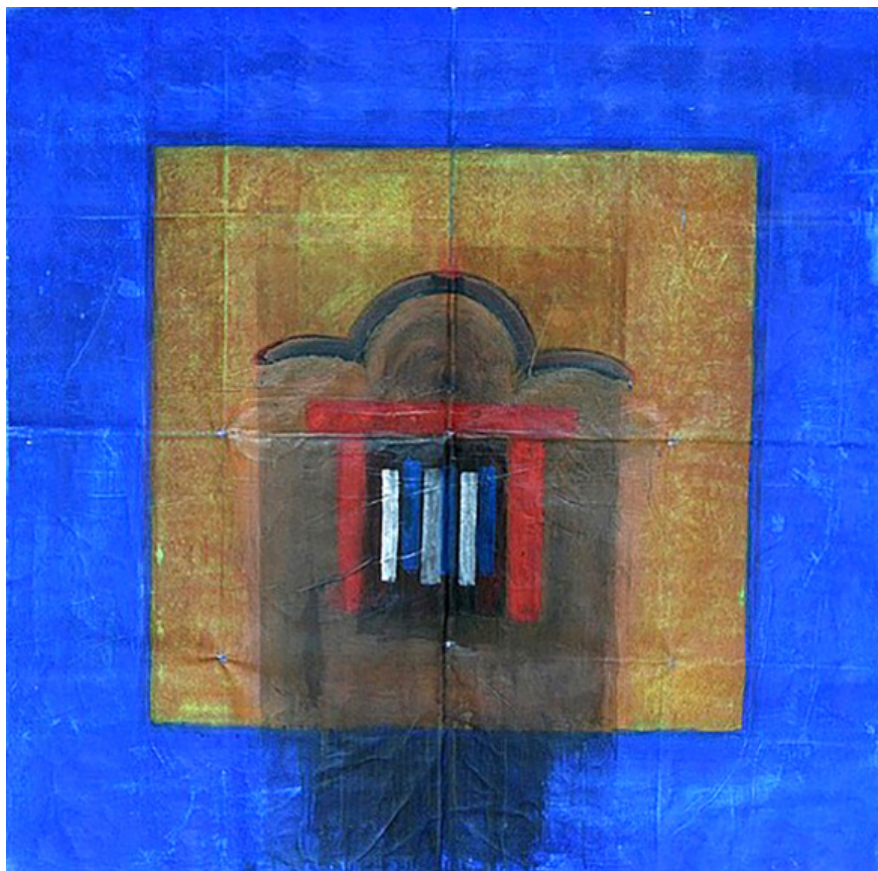
Historia lubi się powtarzać

Moja fotografia jest przedłużeniem życia

Artystyczne Toronto końca 2022 roku

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)





Kazimierz Głaz, Istota rzeczy, 2005-2007

Jak żyć – spytał mnie w liście ktoś,

Kogo ja zamierzałam spytać

O to samo.

Znowu i tak jak zawsze,

Co widać powyżej,

Nie ma pytań pilniejszych

Od pytań naiwnych...

Zaczynam cytatem z Wisławy Szymborskiej. W 2023 roku poetka-noblistka będzie cytowana często z okazji 100-lecia urodzin i wybrania jej na Patrona Roku 2023. Znakomicie przyda nam się wszystkim jej subtelna ironia, dowcip, błyskotliwa inteligencja i filozoficzne podejście do rzeczy świata tego.

Chciałam zapytać „jak żyć” Kazimierza Głaza w czasie mojego tygodniowego pobytu w Toronto, choć artysta właściwie odpowiedział mi na to pytanie swoim długim i twórczym życiem pokazując, że trzeba poddać się sile talentu, połączyć go z pracowitością i podążać za głosem serca. Teraz Kazimierz Głaz, pomimo słabości, ciągle tworzy, martwiąc się jednocześnie, że nie ma gdzie pokazać swoich prac. Pandemia spowodowała zamknięcie wielu galerii, w tym zaprzyjaźnionej galerii Zacka Pospieszyńskiego, z którą Głaz współpracował. Efekt covidu odbił się na życiu i twórczości wielu artystów.



Anna Machudera

Dla Ani Machudery – malarki, artystki form przestrzennych, oznaczało to brutalną konfrontację z życiem i przewartościowanie sądów na temat świata, ludzi, jak również własnej sztuki, w wyniku czego podjęła decyzję przeniesienia się z Toronto do Barrie, by móc czerpać siłę i inspirację z natury. W swojej pracowni -laboratorium poszukuje nowej ekspresji. Artystce uznanie przyniosły „Illuminations”, eksperymentalne prace – koła na pleksi, składające się z trzech elementów: światła, przezroczystych okręgów pleksi i cienia. Teraz Ania Machudera spokojnie przechodzi do nowego etapu szukając piękna i ekspresji. Co się z tego wykluje – tego jest najbardziej ciekawa sama artystka.

W naturze, z dala od zgiełku, zamieszkała również Kika Misztela – kuratorka wystaw polskich artystów plastyków w Toronto. Stało się to ze szkodą dla polskiego plastycznego życia artystycznego w Toronto, ale zarówno Kika, jak i jej rodzina są szczęśliwi i spokojniejsi o zdrowie w domu, z którego okien widać magię obłoków. Zupełnie jak w „Niebie” Szymborskiej:

Nie muszę czekać na pogodną noc,

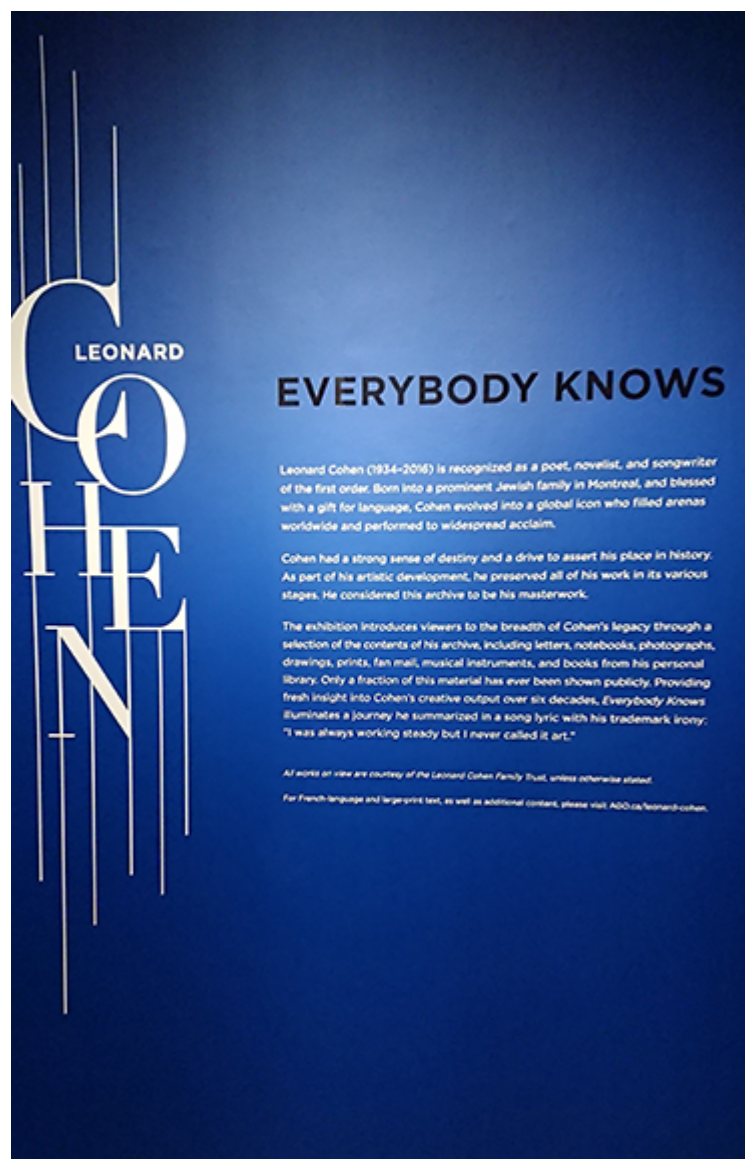
ani zadzierać głowy,

żeby przyjrzeć się niebu.

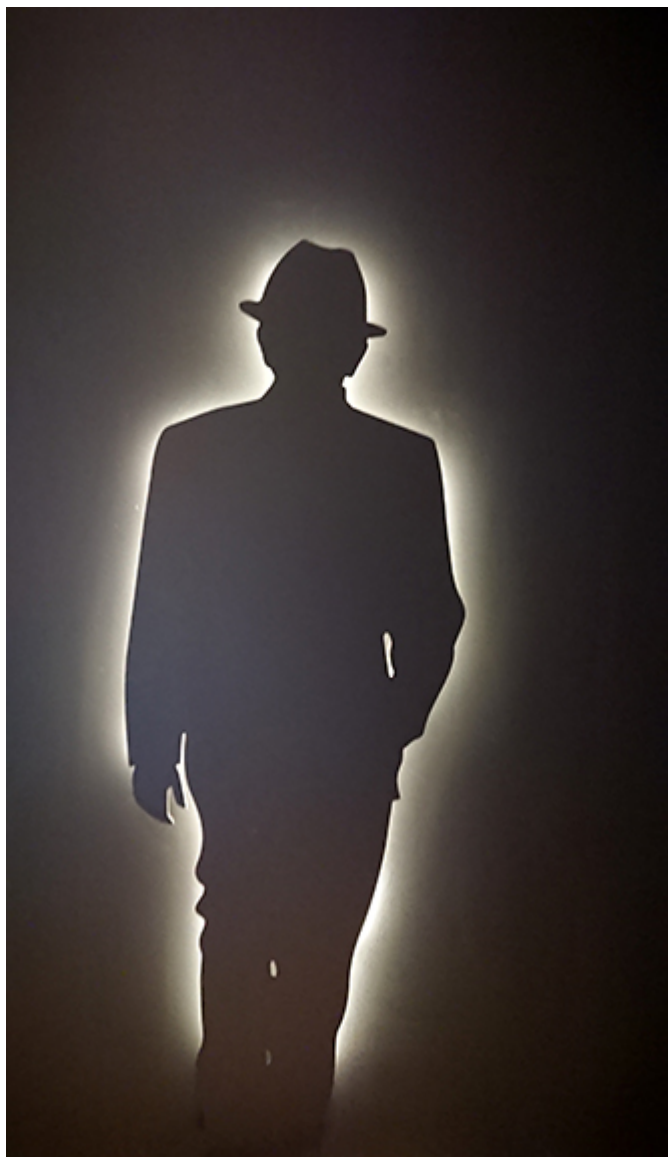
Niebo mam za plecami, pod ręką i na powiekach.

Niebo owija mnie szczelnie

I unosi od spodu.



fot. Katarzyna Szrodt



fot. Katarzyna Szrodt

*

Dopełnieniem artystycznych odkryć grudniowego Toronto stała się otwarta niedawno wystawa „Everybody Knows” – hołd złożony kanadyjskiemu poecie, bardowi o złotym głosie – Leonardowi Cohenowi. W twórczości Cohena słowa i muzyka doskonale współgrają ze sobą, wibrują melancholią, tęsknotą za czymś niemożliwym, ciągłym poszukiwaniem miłości. Na kilku

ekranach rozmieszczonych na wystawie oglądamy Cohena będącego ciągle w drodze, piszącego w pokojach hotelowych, występującego na wielkich scenach i w małych klubach. Zewsząd słysząc jego śpiew; na jednym video Cohen opowiada o swojej poezji, o tym, że dużo czasu zajmuje mu pisanie, skreślanie, poprawianie, ale zawsze wie kiedy tekst jest najlepszy i skończony. Dużo jest na wystawie prywatnych eksponatów artysty, od notatników, kartek, po gitarę, kapelusz i buty. Zaskoczeniem są rysunki i akwarele dowodzące umiejętności malarskich muzyka. Jeden z jego cytatów widniejący na ścianie brzmi: *If you liberate yourself, anything you lay hand on can sparkle* – Leonardowi Cohenowi udało się wyzwolić w sobie różne talenty które stały się dopełnieniem jego wypowiedzi poetyckiej i muzycznej.



Leonard Cohen, The Kitchen, Montreal 2007, wystawa w Toronto, fot. Katarzyna Szrodt

Przy bliższej analizie koncepcji wystawy uderza brak obecności kobiet- zdjęć i opisów pokazujących ich rolę w życiu artysty, którego przecież całą twórczość liryczną i prozatorską przenikała fascynacja kobiecością. Ekspozycja nie porusza tematu kobiet, które były partnerkami muzyka i towarzyszyły mu na różnych etapach życia jako muzy inspirujące kolejne utwory, czy doprowadzające artystę do rozpacz, co też od razu znajdowało upust w tekstach. Uboższa o ten wątek wystawa „Everybody Knows” jednak mówi dużo o Leonardzie Cohenie i legendzie, jaką pozostawił po sobie. Prezentuje Cohena jako artystę

całkowicie oddanego swojemu powołaniu, fascynującego człowieka, mężczyznę o wielu twarzach.

Kanada podtrzymuje pamięć o zmarłym w 2016 roku artyście. Leonard Cohen nie był nigdy tak popularny w rodzimej Kanadzie, jak był w Stanach Zjednoczonych, Europie Zachodniej i uwielbiany w Polsce. W Montrealu znajduje się mieszkanie Leonarda Cohena z jego wszystkimi meblami i pamiątkami i być może niedługo powstanie w nim stała wystawa. Byłaby to niewątpliwie dodatkowa atrakcja dla miasta, w którym Leonard Cohen obecny jest na dwóch muralach, z których spogląda na zgiełk miasta nucąc w myślach „Songs of Love and Hate”.

Od Nowego Roku artykuły Katarzyny Szrodt będą się ukazywały w pierwszą środę miesiąca.

Brylant. Część 1.



Exton House, seria malowniczych widoków arystokratycznych, wiejskich siedzib Wielkiej Brytanii, XIX w., ilustracja książkowa, autor: F.O. Morris, źródło: wikimedia commons

Wojciech Wilczyński (*Warszawa*)

I

Już było po wszystkim. Ustał stukot kół powozów na wybrukowanym podjeździe pałacu. Przed jego frontem ucichło rżenie koni i gwar rozmów. Zamknięto potężną bramę wjazdową, a zgrzyt zatraskiwanych zamków był ostatnim donośnym dźwiękiem, który rozległ się wśród zapadających ciemności. Gaszono po kolei światła, najpierw w alejach parku, następnie te

blżej pałacu, na wjeździe i przy wejściu. W końcu nastała zupełna cisza. Kilkanaście breków i coupe stało w powozowni, albowiem część uczestników ceremonii i stypy udała się na nocleg do zawczasu przygotowanych sypialni. Hol i schody wiodące do pokoi na piętrze oświetlało chybocące światło niewielu świec, które pozostawiono na czas wietrzenia. Przez uchylone okna wydostawało się przegrzane powietrze, pomieszane z dymem cygar, świec, ciężkim aromatem kwiatów, perfum i zapachem naftaliny, który jeszcze przed chwilą rozsiewały futrzane płaszcze gości opuszczających westybul.

Siedział przy biurku w gabinecie. Nadszedł wreszcie ten dawno planowany moment, gdy mógł – przez nikogo nie niepokojony, zgodnie z ostatnią wolą ojca, wysunąć tajną szufladkę sekretarzyka i otworzyć ukrytą w nim skrytkę. Dowiedział się o niej podczas ostatniej rozmowy z nim, gdy wszystkim nakazał wyjść z sypialni i pozostali bez świadków. Wkrótce potem utracił z ojcem kontakt. Senior rodu leżał bez świadomości przez wiele dni. Po podniesieniu ozdobnego okucia znajdującego się na froncie, jedyne, które nieoczekiwanie nie było przytwierdzone na stałe, mechanizm blokujący sekretną, niewielką szufladkę uległ zwolnieniu. Jego oczom ukazała się zalakowana koperta z odcisniętą pieczęcią ojca. Widniał na niej wykaligrafowany jego ręką tekst: *Sir Edward Cunningham, mój syn, do rąk własnych i na odwrocie podpis – Philip Cunningham*. Edward wyjął kopertę. Zobaczył pod nią czerwone sukno, przysłaniające cztery

przegródki. W trzech leżały rodzinne pierścienie. Rubiny i szmaragdy otaczały arystokratyczny rodzinny herb. Słyszał o ich istnieniu, ale wiedza o miejscu ich ukrycia otoczona była tajemnicą. To, co zobaczył w czwartej przegrodce, wprawiło go w zdumienie. Brylant ogromnej wielkości błysnął pięknymi szlifami w migoczącym świetle świec. Takich rozmiarów brylantu jeszcze nie widział, ani w bogatych kolekcjach, ani w najznamienitszych firmach jubilerskich. Usiadł w krześle z wysokim oparciem, stojącym obok sekretarzyka. Złamał pieczęć i otworzył kopertę. W środku był list napisany na jednej kartce. Edward rozprostował dwa zagięcia listu i położył go przed sobą.

Drogi Synu Edwardzie !

Gdy czytasz ten list nie ma mnie w świecie żyjących. Mam cichą nadzieję, że będzie mi dane, choćby z daleka, móc przyglądać się Wam wszystkim i cieszyć się Waszymi radościami. I wspierać Was, gdy zajdzie taka potrzeba.

Pragnę Ci podziękować za miłość i troskę jakie mi okazałeś w ostatnich miesiącach. Kolejny raz przekonałem się, że jesteś moim godnym następcą i cenimy sobie te same nadrzędne wartości: Boga, honor i ojczyznę. Wierzę, że pozostaniesz im wierny. Teraz przed Tobą zaszczytne zadanie kontynuowania

naszych tradycji. Dbaj, proszę, o wszystkich bliskich i zarządzaj naszym majątkiem tak, by nikt nie cierpiał, nie czuł się pokrzywdzony. Mam tu na myśli nie tylko naszą rodzinę. Także oddaną nam służbę. Poświęcają nam swoje życie, są wierni i pracowici. Bądź tym samym dobrym chłopcem, z którym spędzałem chwile na zabawie i tym samym mężczyzną, którego zalety poznałem nie tylko podczas polowania, ale i w życiu codziennym. Życzę Ci, byś znalazł siły, które nie tylko pozwolą na utrzymanie obecnego status quo, ale dadzą naszemu wspaniałemu rodowi impuls do rozwoju. Wiem, że założysz szczęśliwą rodzinę.

W szufladce, którą znalazłeś, są herbowe pierścienie, mające blisko trzysta lat. Chroń je jak źrenicy oka. Są symbolem niezłomności naszego rodu i powinny być wsparciem duchowym dla jego następnych pokoleń.

W jednej z przegródek jest brylant. Nie należy do naszej rodziny. Historia jego w naszym domu nie jest długa. Sięga początku wieku, gdy toczyliśmy wojnę z Napoleonem. W 1804 roku, mój serdeczny Przyjaciel, wysoki rangą oficer królewskiej marynarki, przekazał mi go z prośbą o przechowanie. Okręt, na którym służył, wypłynął wraz z admirałem Horatio Nelsonem, by w bitwie morskiej przechylić ostatecznie szalę wojny na naszą korzyść. Wielkie zwycięstwo w 1805 roku uradowało króla Jerzego III i cały

naród.

Mój Przyjaciel nie zaznał tej radości. Zginął od strzału francuskiego marynarza pod Trafalgarem. Prosił, by na wypadek śmierci przekazać brylant jego potomkom. I ja złożyłem Mu przyrzeczenie. Mamy już 1820 rok, a ja, niestety, przez piętnaście lat nie spełniłem Jego prośby. Byłem zbyt zaabsorbowany naszymi sprawami, a ostatnio brakowało mi już sił. Na Ciebie ceduję ten obowiązek i wiem, że w moim imieniu, spełnisz obietnicę, którą złożyłem Przyjacielowi.

Jego imię brzmi : Thomas Cambridge, z Londynu, oficer marynarki w stopniu kapitana. Zginął pod Trafalgarem dnia 21 października 1805 roku. Dane znajdziesz w aktach Royal Navy.

Zostańcie wszyscy z Bogiem.
Twój zawsze kochający ojciec
Philip Cunningham
Ashbourne, 11 marca 1820.

Po dłuższej chwili Edward ostrożnie zamknął szufladkę, a list ojca umieścił w biurku. Poczuł się zmęczony. Uroczystość i mowy pożegnalne trwały długo. Część rodziny i przyjaciół pozostała na

nocleg. Musiał wydać dyspozycje na jutro.

II

Minęło kilka dni, podczas których wszystko powoli wracało do normy. Edward kontynuował zapisy w księgach finansowych, ordynował wykonanie prac. Poczuł się bardzo samotny.

Uświadomił sobie, że choć przez ostatnie miesiące sam załatwiał większość spraw, fakt obecności ojca działał pozytywnie na jego psychikę. Matka odeszła przed trzema laty i teraz on – jedyny syn i spadkobierca całego majątku – został zupełnie sam.

Po tygodniu postanowił zająć się sprawą brylantu, by spełnić wolę ojca. Napisał list do Londynu, w którym przedstawił swój problem zaufanemu Przyjacielowi Jeremy'emu Scottowi. Pomiął jednak informację o tym, co było przedmiotem, który ma do przekazania rodzinie Thomasa Cambridge. Jeremy nie zbagatelizował prośby Edwarda. Długo nie czekał na jego odpowiedź. Jeremy odpisał, że odwiedził siedzibę Royal Navy i posiada wydane przez archiwum dane adresowe rodziny Thomasa Cambridge. Nie był pewien, czy ma sam dalej zajmować się sprawą, czy też lepiej byłoby, co zresztą sugerował, żeby Edward przyjechał do Londynu. „Sam zdecydujesz jak postąpić” – pisał – „w zależności od sytuacji, bo jest to delikatna sprawa”.

Tak dawno nie był w Londynie. Perspektywa spotkania z Jeremy'm i kilkoma innymi bliskimi znajomymi, nie wyłączając dalszej rodziny u której z pewnością znalazłby gościnę, wydała mu się kusząca. Doszedł do wniosku, że oderwanie się na jakiś czas od domu wyjdzie mu na dobre. Żyje samotnie i nie bywa w towarzystwie. Nie chciałby zostać starym kawalerem. A w bliskiej i dalszej okolicy, wśród ludzi jego stanu, nie widział żadnej młodej kobiety, która podobała by mu się do tego stopnia, by chciał poświęcać jej swój czas. A co dopiero związać się na stałe. Następnego dnia odpisał więc, że przybędzie do Londynu piątego maja, za trzy tygodnie. Nocować będzie u wuja, a u Jeremy'ego zjawi się następnego dnia około dziesiątej. Dodał, że chciałby spotkać wspólnych przyjaciół, pytając, czy może mu pomóc w tej kwestii.

Edward cieszył się na ten wyjazd. Nawet ojciec bywał w Londynie częściej, ostatni raz przed trzema laty, tuż przed nagłą śmiercią matki. Do diaska, mam już trzydzieści siedem lat, pomyślał, coś mi się od życia należy. Rodzice wciąż nalegali, by bywał wśród ludzi, a on zaszył się w lasach Ashbourne jak lis w norze. Bieżące sprawy przekazał ekonomowi. Wziął dwie walizki, pieniądze na pobyt i podróż, parasol, kilka drobiazgów, portrecik rodziców i notes, w którym były imiona, nazwiska i adresy znajomych oraz list – główny motyw wyjazdu. Jazda zajmie mi z tydzień, pomyślał i niewiele się pomylił.

III

W Londynie Edward zatrzymał się u wuja, który przyjął go bardzo serdecznie. Na czas pobytu zamieszkał w dwóch salonach i sypialni z łazienką. Wuj nie pytał go na jak długi czas zamierza pozostać w Londynie. Cieszył się, bo nareszcie miał okazję posłuchać opowieści o rodzinie i zmianach w majątku Ashbourne. I to z najlepszego źródła.

Nazajutrz około dziewiątej Edward ruszył pieszo na spotkanie z Jeremy'm. Jadąc dorożką nie mógłby przyjrzeć się uważnie zmianom, które dokonały się w stolicy. Zadziwiły go liczne nowe domy z witrynami sklepów, porządek na ulicach i przede wszystkim ogromny ruch. Szedł z Paddington przez Edgeware Rd i dalej Oxford Street, która zmieniała się w prawdziwą arterię. Do Greys Inn Lane nie miał daleko i przed dziesiątą był na miejscu. Jeremy czekał na niego z herbatą, ale na przywitanie podał mu szklanekę szkockiej. Przy herbacie zrelacjonował mu własne dokonania, zaskakując Edwarda swoją dociekliwością. Okazało się, że rodzina Thomasa Cambridge przeniosła się do Dorking w hrabstwie Surrey.

- To wieś właściwie - powiedział Jeremy - z początkami zabudowy miejskiej. Znajduje się niedaleko, zaledwie dwadzieścia kilka mil na południe od Londynu. Moja służąca Elisabeth pochodzi stamtąd. Edward, nie masz wyjścia, musisz

tam jechać. Zresztą to piękne miejsce. Jak mi powiedziała Elisabeth, Dorking jest usytuowane między dwoma wzgórzami Box Hill i Leith Hill. A posiadłość, którą dość dawno temu kupiła rodzina Cambridge, jest położona w pobliżu miasteczka. Służąca przepytала swoje przyjaciółki, które lepiej znają tę okolicę i powiedziały, że to wielka winnica z niezbyt dużym domem. Nosi nazwę Crystal House.

Edward słuchał jego słów, nie mogąc się nadziwić w jaki sposób Jeremy zdołał zgromadzić tyle cennych informacji. A to wcale nie był koniec jego monologu, bo uzupełnił swoje wieści o istotne szczegóły.

- W posiadłości mieszka żona Thomasa - Emma Cambridge, z córką Karoliną. Mają nieliczną służbę.

Edward spojrzał przez okno na rosnące w sadzie jabłonie, obsypane białymi kwiatami. Wiosna wkroczyła tu na całego, nie to co u nas, na północy - pomyślał, a w Surrey, chodź to niedaleko, jest z pewnością jeszcze piękniej.

Jeremy z Edwardem spożyli wczesny lunch, podczas którego omówili londyńskie plany - z kim i gdzie mogliby się spotkać. Edward zaskoczył Jeremy'ego nagle podjętą decyzją, gdy oznajmił:

- Czekaj na mnie mój drogi, jutro wyjeżdżam do Dorking. Najpierw załatwię sprawę, a potem będę się udzielać towarzysko, tak będzie lepiej.

Jeremy chciał oponować, bo na jutro mieli umówione spotkanie, ale widząc jego determinację, ustąpił, i zaproponował:

- W takim razie mój stangret jutro rano zabierze cię powozem z Paddington. Dojedziecie na miejsce pod wieczór albo późnym popołudniem, jeśli nic się nie przydarzy. Nie mogę Ci towarzyszyć, mam pilne sprawy. Myślę, że dwa dni na miejscu w Dorking okażą się wystarczające. Dzisiaj mamy wtorek, więc kolację przygotuję na sobotę wieczór. Zrobię wszystko, by zjawili się: Eleonora, Sheridan i jeszcze ktoś, kto bardzo pragnie Cię zobaczyć, ale cicho sza. To ma być niespodzianka.

IV

Przed ósmą czterokołowy, lekki faeton zajechał po dom wuja. Edward pierwszy raz widział dwuosobowe, resorowane i zadaszone buggy. Zabrał tym razem niewielką walizeczkę i przede wszystkim list ojca. Przez całą drogę obmyślał co powie na powitanie i jak usprawiedliwi swoje najście, wszak była to niezapowiedziana wizyta. Nie żałował swojej decyzji, lepiej mieć tę sprawę za sobą – pomyślał – załatwię w tydzień coś, czego

ojciec nie zdołał uregulować przez piętnaście lat.

Pogoda im sprzyjała, słońce świeciło z lewej strony nie oślepiając stangreta, który powoził wyjątkowo sprawnie. Po drodze zaledwie cztery razy stanęli na krótkie postoje, by nakarmić i napoić konie. Posiłek zjedli w przydrożnej gospodzie. Odniósł wrażenie, że z każdą milą świat pięknieje, bo w Surrey zieleń i kwiaty przysłoniły niemal wszystko. Wielobarwne prostokąty rozpościerały się na łagodnych wzgórzach niczym czarodziejskie dywany. Lekkie buggy miękko płynęło po drogach spowitych intensywnymi zapachami kwiatów i łąk. Niechybnie by zasnął, gdyby nie wspaniałe, zmieniające się co chwila panoramy Surrey i widoki zapierające dech w piersiach.

W Dorking wskazano Edwardowi drogę do Crystal House. Do majątku rodziny Cambridge dotarli pół do czwartej. Posiadłość nie był ogrodzona. Aleja dojazdowa wyłożona drobnym brukiem prowadziła na podjazd przed niezbyt okazałe wejście do domu, wsparte na dwóch kolumnach. Powitała ich korpulentna niewiasta w fartuszkach i białym czepku na głowie.

- Panowie do kogo ? - usłyszeli na powitanie.

- Do Pani Emmy Cambridge. Nazywam się Edward Cunningham, jestem z Ashbourne. Jadę z Londynu, w pilnej sprawie. Nie zdążyłem uprzedzić Pani Cambridge o moim przyjeździe.

- Pani nie ma. Pojechała z córką doglądać winnice, powinny wrócić na podwieczorek, o piątej. Pan pewnie zmęczony drogą, proszę do salonu, przygotuję herbatę. Zechce Pan wejść. Proszę spocząć na kanapie, zaraz podam herbatę.

Mężczyzna w zielonym fartuchu, prawdopodobnie ogrodnik, skierował faeton do stajni, znajdującej się poniżej domu.

- Żona przygotowuje Panu herbatę, proszę za mną, - powiedział do stangreta.

Edward wszedł do domu i od razu zobaczył portret przystojnego, młodego mężczyzny w mundurze kapitana marynarki, wiszący na ścianie w obszernym holu, naprzeciwko wejścia. Któż inny miałby to być, jak nie szlachetny Thomas Cambridge - pomyślał, siadając z ulgą na kanapie. Miał za sobą wiele dni podróży i zmęczenie dawało o sobie znać.

V

Po herbacie z biskwitami nie oparł się drzemce, którą przerwały odgłosy kroków dochodzące z holu. Szybko wstał i ujrzał dwie kobiety zmierzające w jego kierunku. Lekko zaspany odchrząknął i przedstawił się:

- Nazywam się Edward Cunningham, jestem synem sir Philipa

Cunninghama z Ashbourne.

- Miło mi - odpowiedziała starsza z kobiet, jestem Emma Cambridge - i podała mu rękę, dodając: - to moja córka, Karolina. Wzrokiem i ruchem głowy wskazała młodą osobę stojącą obok. Edward jej również podał rękę.

- Pragnę Panią gorąco przeprosić za niezapowiedzianą wizytę. Byłem w Londynie i postanowiłem nie zwlekać z odwiedzinami w Dorking. Spełniam życzenie mojego zmarłego niedawno ojca.

- Nic nie szkodzi, że zjawił się Pan bez uprzedzenia. Poznałam kiedyś Pana ojca, był przyjacielem mojego męża Thomasa. Proszę przyjąć gorące wyrazy współczucia.

Po przywitaniu zrobiono przerwę, podczas której wskazano Edwardowi jego pokój. Zanim usiedli do podwieczorku zdążył umyć się i założyć wyjściowe ubranie. Panie przebrały się i niezapowiedziany przybysz mógł teraz podziwiać je w całej okazałości. Tocząc rozmowę z Emmą, patrzył jak urzeczony na Karolinę. Nigdy nie widział tak pięknego dziewczęcia, a właściwie kobiety. Kręjące się mocno włosy częściowo przysłaniały jej delikatną buzię. Mogła mieć nie więcej niż osiemnaście lat. Emanowała świeżością i wdziękiem, a uroku dodawały jej naturalne ruchy i gesty, świadczące o wrażliwości i umiejętności przekonywania. Edward zauroczony Karoliną

niemal zapomniał o celu swojej wizyty.

- Otóż - zaczął, gdy pili drugą filiżankę herbaty, mój ojciec uważał Pani męża, kapitana Thomasa Cambridge za swojego najlepszego przyjaciela. Pół roku przed bitwą pod Trafalgarem spotkali się i Pani mąż wręczył mu na przechowanie pewien przedmiot, który ojciec zobowiązał się przekazać potomkom kapitana w przypadku, gdyby ten poległ. Niestety, mąż Pani poniósł honorową śmierć w walce z Francuzami. Ich zginęło tysiące, a naszych marynarzy zaledwie kilkuset w wygranej przecież bitwie. Przeznaczenie sprawiło, że po tylu latach to mnie przypadło w udziale poinformować Pani o zobowiązaniu ojca i liście.

- Co to za tajemniczy przedmiot, szanowny panie, proszę nam powiedzieć.

- To wspaniały brylant, o którym dowiedziałem się z listu mojego ojca, proszę, oto ten list. Jest wprawdzie skierowany do mnie, ale nie ma w nim niczego, co powinno pozostać dla pań tajemnicą. Matka i córka z wielkim przejęciem czytały treść listu. Nie mogły opanować zdziwienia.

- Co za niesamowita historia! - powiedziała Emma.

Mina Karoliny świadczyła, że silnie przeżywa tę wiadomość. Gdy

ojciec udał się na wojnę miała zaledwie dwa lata i niczego z tego okresu nie pamiętała. Znała go jedynie z opowiadań, ze szkiców i portretów. A tu zjawia się przystojny Pan Edward z Ashbourne i po tylu latach przywozi wieści od ojca – pomyślała. Od ludzi, którzy go szanowali. Patrzyła z podziwem na Edwarda. Skoro jej ojciec i jego ojciec byli przyjaciółmi, to i on jest moim i mamy przyjacielem – pomyślała.

Podwieczorek przemienił się w kolację. Resztę wieczoru spędzili przy winie wspominając ojców i opowiadając ciekawe historie obu rodzin. Emma wspomniała, że przed pięcioma laty, na początku czerwca, rodzice Edwarda, będąc w drodze do Brighton, spędzili jedną noc w Crystal House. Była to niespodziewana wizyta. Pamięta uroczy, wzruszający wieczór, i wspomnienia pana Philipa o Thomasie. Edward był zupełnie zaskoczony.

Wiem, że byli w Brighton – powiedział, ale o wizycie w Crystal House nigdy nie wspomnieli. Zamilkł na chwilę, bo uświadomił sobie, że ojciec miał wtedy możliwość przekazania brylantu. Jedynym wytłumaczeniem mogła być nieprzewidziana wcześniej zmiana trasy, przez co wizyta nastąpiła przypadkiem pomyślał. Przez chwilę ta informacja nie dawała mu spokoju. Na następny dzień zaplanowano wycieczkę po posiadłości, której perłą były winnice, założone przez dziadka Jakuba, ojca Thomasa.



Część 2:

Brylant. Część 2.

Wojciech Wilczyński



Urodzony w Warszawie. Absolwent SGH. Píše i wydaje książki od 2012 roku. Pracował na różnych stanowiskach i w kilku zawodach. Był urzędnikiem państwowym, managerem w handlu zagranicznym, szefem budów za granicą, prezesem firm

handlowych, biegłym sądowym, tłumaczem dokumentacji technicznych, z-cą dyrektora instytutu. Poza Polską mieszkał 12 lat, wśród innych kultur, ludzi z różnych środowisk społecznych i zawodowych. Posługuje się językami obcymi: hiszpańskim, rosyjskim, angielskim i niemieckim. Od 2018 roku na bazie WordPress prowadzi polsko-hiszpańską stronę autorską [www.wilczynski.com](#) z której można pobrać w wersji ebook pięć książek, opowiadania, prozę poetycką, a także reportaże. Na YouTube uruchomił kanał z własnymi opowiadaniem: wojciech wilczynski nowele - liczba audiobooków przekroczyła czterdzieści. Współpracuje z licznymi organizacjami polonijnymi, m.in. Radiem Polonia Montreal Kanada. Wszystkie książki autora ukazały się w wersji papierowej. Pojawiają się co roku na licytacjach WOŚP, dostępne są w ofercie antykwariatów internetowych i na allegro.